

JERZY BROSZKIEWICZ



OCZEKI  
WANIE

Jerzy Broszkiewicz

## OCZEKIWANIE

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66719-59-0

Copyright © Estymator Jacek Chołoniewski 2020

Tekst: Wydawnictwo Literackie, Kraków 1972, wydanie IV

Projekt okładki: Marcin Labus

*Pamięci Stefana Grünsteina*

## Spis rozdziałów

WSTĘP

STYCZEŃ

LUTY

MARZEC

KWIECIEŃ

MAJ

CZERWIEC

LIPIEC

SIERPIEŃ

WRZESIEŃ

PAŹDZIERNIK

LISTOPAD

GRUDZIEŃ

## WSTĘP

O książce tej, wydanej po raz pierwszy w r. 1948, tak pisał Jarosław Iwaszkiewicz:

Kiedy myślą przenosimy się do tych milionów zmarłych, zamęczonych, zagazowanych, rozstrzelanych, wyobrażamy sobie ich ostatni moment, słyszymy krzyk czy ostatnie westchnienie. Ale wyobraźnia nasza ociąga się i wzdryga przed urealnieniem sobie długich godzin, dni, tygodni, miesięcy, lat nawet, które nieraz tę ostatnią tragiczną chwilę poprzedzały. Czas oczekiwania bowiem na śmierć był i boleśniejszy, i trudniejszy od samej śmierci, i ciężko nam jest wżyć się w te długie okresy męki, strachu, znudzenia, jałowe pustynie czekania na dokonanie się ostateczne. Najokropniejsze w tych mękach było przywiązanie do jakichś resztek ludzkich ideałów, niemożność wyrzeczenia się ich bez reszty i wiara w to, że człowiek dla człowieka nie może być aż tak okrutny.

Wyobrażeniu wszystkich tych uczuć poświęcona jest wspaniała książka Jerzego Broszkiewicza „Oczekiwanie”. W dwunastu rozdziałach wyobraża ona dzieje ludzi na pół zamkniętych w getcie lwowskim, czekających na etapy śmierci, śmierci na raty: zamknięcie getta, wywożenie, zamknięcie w obozie... Wszystko pod hasłem sformułowanym bardzo ściśle, ale niepojętym człowiekowi w swej nagiej bezwzględności: alle Juden muüssen krepieren.

Długie oczekiwanie jest, właściwie mówiąc, jednym wielkim konaniem, wszystkie nadzieje są tylko rozszerzaniem możliwości męki i cierpienia, trudniejszym niż zwyczajna perspektywa bezpośredniej śmierci. Stan ten stopniowo zmusza do szukania tego najmniej skomplikowanego rozwiązania. Bohater opowiadania u Broszkiewicza w ostatnim rozdziale wychodzi na spotkanie rzeczy nieuniknionej, a wszystkie poprzednie rozdziały są tylko mistrzowskim stopniowaniem stanów psychologicznych młodego człowieka i uzasadnieniem jego końcowej decyzji, która powoli staje się jedynym możliwym wyjściem z sytuacji.

(„Nowiny Literackie” 1948, nr 26)

## STYCZEŃ

W nocy woda zamarzała we wszystkich naczyniach, choć wieczorem, przed snem, Stefan rozpałał po raz drugi ogień w żelaznym piecyku. Matka i brat już spali, gdy piecyk rozżarzał się do czerwoności: ką, w którym stał, nasycił głęboką, pełną barwą, więc braki i nędza izby nikły w tym blasku, przetwarzały się w nowy, spokojny krajobraz. Stefan leżąc nie widział źródła światła — zakrywał je kontur jednego ze sprzętów — więc mógł lekceważyć fakty: zardzewiała piecyk, wilgotne ściany, kalectwo skrzypiących mebli. Zimna wilgoć izby szybko ustępowała suchej fali powietrza, z rozpalającym się coraz silniej węglem czerwień zmieniała się w złoto i od tej chwili należało przymknąć oczy; ten punkt szczytowy mijał łatwo, piecyk cichł, ką izby przygasał nagłymi skokami. Stefan obracał się do ściany, by usnąć.

Zaś rano w wiadrze, miednicy, w naczyniach na stole szklity się tafelki lodu. Trzeszczały sucho, gdy łamiąc je nabierało się wody. Zresztą i tak na szybach okiennych kwitł styczeń, a po kątach izby bieleły się szrony rosnącej od podłogi wilgoci.

Ten rok od pierwszych swych dni wszedł w mrozy. A więc niebo dniem bywało głębokie i czyste, wiatry wysokie, śniegu spadło niewiele: dwa, może trzy razy, i to milczkiem, bo nocą. Pola za ulicą Źródlaną leżały wypukłymi płaszczyznami jego bieli, kończyło je tuż pod niebem granatowe pasmo lasu. Poza tym w dolinie przed owym lasem śnieg osypał spiczastą sylwetkę kaplicy i niewiele wiejskich chałup — z miastem łączyła je linia gościńca. Nic ponadto. Zresztą i ulica Źródłana, dzięki takiej zimie, zmieniała swój obraz — jak piecyk przeinaczał co wieczora wilgotną izbę, tak zima budowała inną, nową, bajeczną ulicę Źródlaną: śnieg obwisał z niskich okapów, leżał na płotach i budach, lekko, choć grubo — mróz czynił go puszystym a lśniącym. Wyglądało to zatem bardzo spokojnie, nawet bukolicznie: ścieżki wydeptane pod płotami, samotne ślady stóp, pola kończące się wieżyczką kaplicy i zalesionym wzgórzem. Taki pejzaż zaciszny, senny, zbudowany z podmiejskich czy małomiejskich ruder, pozwalał sądzić, że mieszka się w nich nie inaczej — także zacisznie, sennie i po zimowemu.

Minąwszy jednak plac, którym kończyła się Źródłana i kilka podobnych jej zaułków, łatwo można się było z owym złudzeniem pożegnać. Tutaj, ulicami Leśną, Ekerta i jeszcze innymi, ciągnęły się już rzędy kamienic o pustych oknach, ścianach poodbijanych z tynku, o wąskich i ciemnych klatkach schodowych. Ulice biegły tu z północy na południe — słońce musiało sięgać zenitu, by je rozjaśnić. I tak na niedługo. Za to Klonowa znów przypominała tamte krajobrazy: na nowo kamienice małe i gęsto ośnieżone. Szczególnie dom pogotowia lekarskiego ustawiono dobrze, bo frontem do słońca, więc lśnił szybami.

Stefan miał z ulicy Źródlanej do pogotowia drogę niedaleką: przez plac, potem Leśną i oto wszystko. Więc istotnie niewiele. Jednak przedłużał ją sobie sam — zamiast przecinać kwadratowy plac na skos, szedł po przyprostokątnych. Ostatnie czasy — zaledwie kilka miesięcy — nauczyły go obawy przestrzeni, lęku miejsc widocznych. Za prawny powód takiego postępowania należało uznać noszoną na lewym rękawie płaszczka opaskę. Powodów bardziej konkretnych i bardziej pamiętnych zdarzyło się zbyt wiele, by zamknąć je krótką — ze Źródlanej na Klonową — drogą.

Przed furtką siatki okalającej ogródek pogotowia pochylał się nad miotłą Berg, a czynił to — jak wszystkie swe myśli i sprawy — z nieodpartym poczuciem racji i powagą. W długim i czarnym palcie, w szerokorondym kapeluszu przypominał ortodoksów wołyńskiej prowincji, godnych badaczy Talmudu. Nie rezygnował ze swej godności nawet w obliczu tych czasów — Stefanowi mruknął byle jakie pozdrowienie, podnosząc palce do kapelusza. Miotła ostro szeleściła po zmarzniętym śniegu.

Na pogotowiu ranek w ciepłe kaflowych pieców był nudny aż do senności. Stein odsypiał na mansardzie nocny dyżur. Lena i Grossmeier nie przyszli jeszcze na dzień. W

dyżurce śpieszył się wiszący zegar. Stefan powracając do salki operacyjnej mrużył oczy od słońca — było go o wiele za dużo w tym pokoju, dziesiątki słońc: w szybach, lustrze, niklowych przyrządach i metalowych okuciach, jedno zawisło na klamce drzwi, drugie skryło się w kran umywalni, po podłodze rozsypano kilka tęczowych i zbytanych. Nad sufitem krążyły powolne kroki: zapewne Berg uporawszy się ze śniegiem sprzątał swój pokój — do kroków dołączyły się głuche szurgoty przesuwanych mebli, ciężkie, choć dalekie hałasy, w które — jak kropla roztopionego metalu — wpadło uderzenie zegara. Kroki na piętrze ucichły. Była to godzina zbyt nudna a spokojna, by myśleć do rzeczy — brakło przeszkód w uważaniu się równie dobrze za maharadżę, jak za bubka w cylindrze i z orchideą.

Stefan uczył się tego zwyczaju od lat, dopiero podczas pobytu w Lycee Michelet pod Paryżem uznał go jednak za niewłaściwy: groził po prostu ostatecznym wyjałowieniem każdej z pozorów i nadziei wspaniałej zmiany. Istotnie — choćby Paryż. Obmyślił go sobie na wystarczająco wielką miarę, by się rozczarować od razu, a znudzić niewiele później. To samo stało się na nicejskich wakacjach. Raz tylko inaczej: Alp się nie domyślił.

Pisał wtedy w liście do Henryka tylko o nich — nic o sobie. Szczęściem opamiętanie przyszło łatwo, zaś nałogu wyobraźni nie chciał się pozbywać — ani , mówiąc prościej, nie umiałby tego uczynić. Był to nałóg zbyt smaczny — bliski obyczajowi oglądania głupich i pogodnych filmów i czytania głupich i pogodnych książek, pozbywania się rzeczywistości nieprzyjaznej lub nudnej i akceptowania, co więcej: obmyślenia sobie nowej, także własnej, a przecież łatwej i przyjaznej. Nałóg był raczej wstydlivy, chowany nawet przed przyjaciółmi w tajemnicy.

A jednak w tych czasach chyba należało go i chować, i pielęgnować. Chwile rządzone zwyczajną logiką były złe, jeśli nie coraz gorsze. Zobowiązywało to na co dzień do surowszej niż dawniej czujności i rzeczowości myślenia. Ale od święta? — nikt nie mógł odmówić Stefanowi prawa do wyobraźni. Nie był to — istotnie — nałóg męski ani dowodzący dojrzałości. Zgoda. Ale skok z dobrobytu i wakacji w górach prosto w wojnę wymagał jakiejś rekompensaty. Choćby tak łatwej.

Grossmeier wykpiłby to wszystko: uznałby nałóg Stefana za ujmę dla rozsądku. Zmarszczyłby czoło, ręce wsadził w kieszenie marynarki i kiwając z góry głową protestowałby przeciw tak dziecinnemu sposobowi wygrywania jakiejś tam urody życia. Ale oczywiście: Grossmeier był w ogóle ślepy na fikcje. Do sztuki włącznie.

Niewątpliwie gdzieś tu właśnie kryły się źródła przyjaźni Grossmeiera ze Stefanem: w zamiarach pedagogicznych dojrzałego umysłu, człowieka uporządkowanych racji. Stefan poznał lekarza w pierwszych dniach po wkroczeniu Niemców do miasta: spotkali się w chwili, gdy już łatwo było uwierzyć w groźby znęcających się nad nimi wojskowych, a więc: gdy już uwierzyli we

własny a szybki koniec. Jednak wypuszczono ich. Tyle że zbitych do krwi. Potem widywali się często, a kiedy Grossmeierowi udało się zorganizować pogotowie ratunkowe — według oficjalnej nomenklatury: jüdische Rettungsstation — Stefan, jako student medycyny, otrzymał tam pracę; przyjaźń ustaliła się w częstych sporach, a w rzadkich, więc cennych zgodach nabrała smaku i klarowności.

Ich stosunek utrzymywał się na zasadzie wzajemnych ustępstw. Więcej: wyrzeczeń. Można by nawet dopatrzeć się w nim podobieństwa do przyjaźni mężczyzny z kobietą, trwałej, lecz i chętnej do złości w imię dwu różnych „widzimisię” o świecie. A równocześnie pełnej wzajemnego pobłażania na zasadzie względów ubocznych — tutaj: na zasadzie różnicy wieku.

Grossmeier wszedł w pole widzenia Stefana, jak to on, krokiem powolnym, lecz gładkim. Idąc pod słońce marszczył się od blasku, i z profilu — twarzą, a nawet całą sylwetką — upodobił się do dobrze znajomego zwierzęcia. W każdym razie był śmieszny: wielki nos tuż nad brodą, oczy zgubione w zmarszczkach, zgarbione barki, ręce niby wahadła i na

domiar wszystkiego krok aż nadto godny. Wchodząc w furtkę siatki dostał się już w cień, lecz zapomniał się pozbyć tamtego grymasu.

Stefan słyszał teraz kroki przed domem, które nagle zgłuszyły ciężkie stapania Berga po skrzypiących schodach, trzask otwieranych drzwi, na koniec pełne szacunku powitanie posługacza. Jeszcze potem kilka półgłosem wymienionych zdań: Berg wobec autorytetu lekarza pozbywał się nieco swej godności.

Ze Stefanem Grossmeier przywitał się powściągliwiej niż zwykle, dość milcząco. Wspomnił na koniec o zmęczeniu: pół nocy przesiedział przy chorej. Wzruszył ramionami:

— I tak wszystko na nic.

— Ach, tak? — Stefan usiadł na sofce, by wygodnie oprzeć się o ścianę i zmrzył oczy.

Grossmeier spojrzał z uwagą. Powtórzył:

— Wszystko na nic.

— Tak. — Stefan patrzył w okno: zapewne myślał o byle czym, pukał stopą w podłogę. Lekarz uśmiechnął się wstrzemięźliwie.

— *Atrophia hepatis flava*. Widziałeś to kiedy?

A że chłopak zaprzeczył ruchem głowy, powtórzył swój uśmiech:

— Ciekawy przypadek — mruknął. — Można by rzec: przypadek klasyczny.

Stefan ziewnął. Grossmeier podszedł do okna i schylając się wyglądał przez wychuchany krążek na ulicę. Widocznie nie wystarczała mu jego przejrzystość — poprawił palcem, oddechem. W końcu nie odwracając się powiedział:

— Wzięli Marka. Wczoraj. Wieczorem.

Stefan zerwał się z sofy:

— Nie!

Lekarz wzruszył ramionami.

— Tak.

— Ale... ale za co?

Grossmeier z namysłem zwrócił się ku niemu.

— Ty jeszcze ciągle pytasz: za co? Trochę to zabawne — ruchem ręki powstrzymał krzyk chłopca. — Nie wiem, za co. Po prostu: przyszli i wzięli go. Nawet nie bili.

— To... to wszystko?

— Na razie.

Stefan usiadł znowu. Miał zimne dłonie i stopy. Nie

chciał patrzeć na skrzywioną słońcem i bólem twarz lekarza, nie chciał widzieć niczego. A więc po prostu: przyszli, wzięli, nawet nie bili. O czym myśleć? O ratunku, o zemście? Czy po prostu przerazić się. Albo dać się ponieść gniewowi na marny los i przekłete czasy. Lecz i teraz, jak za każdym razem, odnajdywał w sobie przede wszystkim zdumienie. I to zdumienie niewątpliwie naiwne. Potem, by uchronić się przed owym zdumieniem, wspomnił ostatnie widzenie się z Markiem; ostatnie — skorygował natychmiast — przed aresztowaniem. A zatem: mniej więcej miesiąc temu. Był wtedy u Marka, któremu jeszcze nie odebrano fortepianu, i Marek oczywiście grał. Na koniec — nadszedł wtedy już zmierzch ze śniegiem, więc należało się szybko żegnać — Marek jeszcze zdążył wyjaśnić, że uczy się rozumieć muzykę na nowo. W sposób, podkreślił to z naciskiem, możliwie rozumny i ostrożny, lecz także bardzo — powiedział tak — religijny. Religijny w sensie przewagi pewnych poważnych i głębokich wzruszeń nad instancją rozumu.

Grossmeier znowu wyjrzał na ulicę.

— A ten przypadek *atrophia hepatis flava*, o którym mówiłem... jak z podręcznika. Można go nazwać klasycznym. Wiem: nie widziałeś jeszcze czegoś takiego. Ale rzecz jest pouczająca. Nie tylko w sensie medycznym.

— O czym ty mówisz? — pytał Stefan. — O czym mówisz?

— O sprawach pouczających. Tak — lekarz przesunął ręką po włosach. — Wystarczy ujrzeć człowieka tak chorego, by zrozumieć wszystko. I to nie tylko w sensie medycznym. Lekarz spojrzy i pozostaje mu się tylko zastanowić, na kiedy trzeba będzie przygotować akt zejścia. Nie: czy?... tylko: na kiedy? Wtedy znowu zaczyna

się myśleć, że ty, że ja, że my, my lekarze i tak zwane nasze posłannictwo, i tak zwane zwycięstwo nad chorobą czy, jak tam rzec, śmiercią, warte jest w końcu... ot — strzepnął palcami. — Tyle właśnie — dodał do gestu słaby uśmiech. — Przewidywania, starania, recepty... Bzdury, mój drogi. Bzdury i nic ponadto.

Odwrócił się od okna i podszedł do szafki z narzędziami, przyglądał się, jak błyszczą w słońcu, by w końcu, odnalazszy błąd w symetrii ich ułożenia, poprawić go uważnie. Stefan milczał nasłuchując kroków Berga, który znów krzątał się powoli nad sufitem.

— Tak — obniżył głos Grossmeier — każda nadzieja na nic. Widzi się fakt, mało, wie się o fakcie. Jeszcze go nie ma, ale już jest.

— Czy ty — powiedział Stefan — mówisz teraz o Marku?

— Nie. Raczej nie — zastanowił się lekarz łagodnie. — Nie tylko o Marku.

Powiedzmy: także o Marku.

Stein widocznie już się obudził, bo usłyszeli szybkie kroki zbiegające po schodach — wzdłuż ściany na skos — i niby to dziarsko gwizdaną melodię. I zaraz trzaśnięcie drzwi w dyżurce. Stefan powstał:

— Jakim prawem?

— Chciałeś — położył mu lekarz dłoń na barku — chciałeś zapytać o prawo?

Wyszedł nie odwracając nawet głowy.

Stefan istotnie nie zetknął się jeszcze nigdy z człowiekiem tak chorym, by mógł od razu i od pierwszego spojrzenia ujrzeć — jak w słowach Grossmeiera — fakt, który już się zdarzył, choć jeszcze nie nastąpił. Oczywiście ranni, widziani na zbombardowanym dworcu, na ulicy Zielonej i na politechnice w trzydziestym dziewiątym roku czy na dziedzińcu poczty i uniwersytetu w dwa lata później, mało mieli wspólnego z życiem. Ale groza tamtych dni, groza przewidziana i nawet obowiązkowa — czyli: bomby, armaty, kule — pozwalała na odstępstwa od obowiązku wiary w życie, jeśli po prostu nie zmuszała do nich. Miało to jednak swe racje. Także i tradycje. Działy się czasy, w których miasto według tej lub innej myśli, wiary czy nadziei powinno było — bez względu na wielkość owych racji — godzić się ze zniszczeniem. Ze śmiercią murów, obrazów i bibliotek. Przede wszystkim ludzi. A więc każdemu można było przeznaczyć podobny los. Czyli zachowywał się w tym wszystkim znany już ład i logika. Nietrudno się było zdobyć na rezygnację wobec oczywistego faktu: powinno się ginąć, bo wymaga tego to a to. Koniec.

Ale później? i potem? o setki kilometrów za frontem? Podobna logika przestawała obowiązywać, bo znikła z oczu sama aparatura zniszczenia. Należało wracać do logiki dawnej, do tej, która nie przewiduje końca przed jego staniem się. Należało z uporem zachowywać nie inny punkt widzenia. Wbrew pamiętnemu dobrze dniowi, w którym Stefan poznał Grossmeiera, wbrew aresztowaniu ojca, kontrybucjom, aresztowaniu kilkuset czy kilku tysięcy ludzi. Więc także wbrew wzięciu Marka — i na przekór aluzjom lekarza. Marek wróci. Jeśli nie za tydzień, to za dwa, najdalej trzy lub cztery.

Opierając się znowu, niby do drzemki, plecami o ścianę, zboczył swym zwyczajem na margines całej sprawy: zbrojny w moc wyobraźni organizował odbicie Marka — nie tylko: wszystkich więźniów miasta, kraju — mało — Europy — organizował wolność i nowy, jasny porządek świata.

Za chwilę przesączył się przez ścianę głos zegara z dyżurki: dziewiąta. Weszła Lena i wchodząc prosto w słońce uśmiechnęła się bardzo pięknie. Nim zdążyła zdjąć płaszcz, Berg wprowadził pierwszego pacjenta — młodą dziewczynę ze zwichniętym przedramieniem.



Tego dnia pojawiło się na pogotowiu niewielu proszących o pomoc: prócz owej dziewczyny kilkoro dzieci, zniszczona, stara kobieta z odmrożeniami, o zmroku poparzony kwasem drukarz, jąkała o okrągłej twarzy. Stefan, po przybyciu Steina na nocną zmianę, ruszył do domu.

O takiej porze, jeszcze przed policyjną godziną, a już w pełnych ciemnościach, mógł sobie pozwalać na przecinanie placu na ukos. Jasna opaska i jasny rękaw płaszcza zlewały się tą porą w jedno. Gdy przecinał plac, znad południowej strony miasta wypłynęła ku górze rakietą — w chwilę potem wytoczył się spomiędzy dachów turkot samolotowych motorów — maszyna, zapewne wielki transportowiec, leciała nisko i jej sylwetka opatrzona trójkątem światła wlokła się po niebie jak niezdarny owad. Motory dudniły coraz szerzej i dalej, w końcu, gdy Stefan znalazł się przed domem, cień ich dźwięku doszedł do ciszy.

Brat, dziewięcioletni Romek, leżał już w łóżku. Powitał Stefana skrzywieniem warg. — O — powiedział — przyszedł.

Po izbie prócz swędu mokrego drzewa wałęsał się jeszcze zapach owsianki i przypiekanego chleba: kolacja. Stefan zdejmując płaszcz przypatrzył się matce niechętnie — łatwo było się domyślić, że obaj synowie odziedziczyli po ojcu tylko połowę swej brzydoty. Bo chociaż włosy mogły być dawniej pięknie czarne, a drobna postać zgrabna, jednak teraz starość, siwizna, twarz o niezgrabnym rysunku, policzki sine od odmrożeń, w końcu: małe, obsypane zmarszczkami oczy — wszystko było przykre. I jeszcze: skłonność do niedbalstwa, to, co nie było brudem będąc już niechlujstwem. Więc i dziś w swym czarnym fartuchu i zielonym swetrze wyglądała nie inaczej niż wczoraj, przed tygodniem i od pół roku — nędzna, starzejąca się z ranka na wieczór biedota. Owo ostatnie półrocze wykoleiło nie tylko ją. Ale Stefan tych faktów, które widział — może właśnie dlatego, że matka — nie miał zamiaru przeoczać. Siadając na łóżku przypomniał sobie:

— Marek aresztowany.

Mieszając kaszę nie odwróciła głowy:

— Tak. Najpierw ojciec, potem Marek. Potem ja, ty — wskazała tyżką Romka — i ten. Co dalej?

Podeszła do szafy, by za skrzydłem drzwi ukryć twarz. Romek patrzył na brata z zaciekawionym triumfem. Napotkawszy jego spojrzenie, chcąc je przetrzymać, zmarszczył brwi. A gdy nie udało się, nachmurzony skrył twarz pod kocem. Pani Bergmanowa już spokojna kładła na stół talerze — ustawiając je patrzyła w ogień, który przez nieszczelne drzwiczki piecyka kładł różową smugę na podłodze. Wtedy Romek wychylił się z łóżka, by zawołać z zadowoleniem:

— Aha! cebula się spaliła.

Biegając na ratunek potrafiła jeden z talerzy. Rozbił się o podłogę z ostrym dźwiękiem, a Romek parsknął śmiechem. Tym razem nie zdążyła oprzeć się łzom — usiadła obok Stefana, chwytając się za skronie:

— Nie zniosę dłużej, nie zniosę!

Romek patrzył ciekawie, cebula zaczęła dymić. Stefan wstał, by odsunąć rondel od żaru, potem pochylił się nad matką. Nie umiał być czułym synem, a lata słuchania bajek minęły dawno. Przecież nawet Paryż i Alpy wyblakły. W tej chwili lampa kopciła pod szkiełkiem, na suficie czerniły się plamy zacieków, w kątach szron, trzy łóżka, stół i szafa odrapana z brązowego lakieru, szmata zaciemniająca okno i zimno.

Nadszedł wiatr. Piecyk rozśpiewał się i rozgwizdał, nad sufitem i za szybami biegle szybkie trzaski. Stefan opuścił ręce na kolana i patrzył w podłogę — spojrzenie miał w miarę obojętne.

— Wierz mi — ucałowała go w czoło — chwilami już trudno mi żyć.

Chciał odpowiedzieć, lecz Romek zawołał ze złością:

— Mamo. Ja głodny!

Oczywiście kasza wystygła dawno, a przypiekany chleb zawilgł. Stefan jadł byle jeść i zapomnieć o smaku, oczyma wodził po przeciwległej ścianie. Było tu coraz zimniej, za każdym słowem wybuchały kłębki pary. Jednak piecyk po nowej porcji opału wszczął zawody z północnym wiatrem i teraz, póki promieniuje i nasycza izbę suchym gorącym, należało układać się do snu. Matka zdmuchnęła lampę, więc wyciągnął się na swym pościeli. Wyciągnął się z prawdziwą ulgą, nawet z radością: oto nareszcie brakło widoku brudu i brzydoty izby, brzydoty i słabości matki, słabości i głupoty Romka, zaś za ciemnym konturem stołu zaczął się rozszerzać czerwony poblask.

Matka przypomniała sobie sennie:

— Ach! Był ten adwokat. Sonerstein. Wiesz: kulawy przyjaciel ojca.

— Ten — Stefan ziewnął — idiota?

— Mój drogi — chwilę milczała z urazą. — Mecenas przyjaźnił się z ojcem jeszcze przed naszym ślubem.

Piecyk wschodził czerwienią coraz jaśniej i szerzej. Kontur przysłaniającego go sprzętu transponował się w inny wymiar, w daleki, lecz ostry od czerwieni zachodzącego — na wiatr — słońca, kontur górskiego szczytu. Należało tylko zmrużyć powieki. Pani Bergmanowa przewróciła się na bok w skrzypie sprężyn łóżka:

— Mówił, że ktoś — Kaszlnęła. — ktoś miał spotkać człowieka, który był wzięty razem z ojcem. Pracowali przy żniwach.

— Pierwszy to raz? — obruszył się zgryźliwie. — Jak się ów ktoś nazywa?

— Sonerstein nie pamiętał — broniła swych nadziei nieśmiało — nie pamiętał dobrze. Ale... obiecał i...

— Tak — patrzył na blask w kącie izby — może i tak.

Czerwienie i żary minęły już swój zenit — Stefan obrócił się na lewy bok, ku ścianie, by usnąć. Ten lewy bok był obyczajem sięgającym na pewno samego dzieciństwa, a o ile nie jego najwcześniejszych lat, to w każdym razie dość wczesnych. Trudno spamiętać — lecz jeszcze na długo przed urodzeniem Romka matka budziła go, by spał na plecach: sen na lewym boku szkodzi sercu — tak wyglądał argument. Wpierw odpowiadał płaczem. Potem kłamał: udawał sen, matka odchodziła, on zaś znów obracał się do ściany. Ściana dzieciennego pokoju była bladoniebieska w granatowe i białe kwiaty. Aby udać sen, należało przymknąć powoli oczy, powieki nie powinny były drżeć — jasnym jest chyba, że takie chwile cenił bardziej niż sen. Zresztą matka wychodziła z pokoju szybko. Słyszał, jak kładzie się, rozmawia z ojcem, szeleści kartkami książki. Z uśmiechem triumfu a cicho obracał się na lewy bok. Przysłuchując się szelestom kartek i coraz dalszym słowom, usypiał obrócony ku bladoniebieskiej ścianie.

Sypialnia rodziców miała kolor żółty, salon i jadalnia brązowy, gabinet ojca lakierowany był na kremowo i biało. Gabinetu zresztą nie znosił, tym bardziej że wstępu doń broniono. Tak — jedyny pokój, który był

godny dobrych wspomnień, to salon, wysokościenny, bogaty w ciężkie meble i fotele, kotary, dywany, obrazy i ciemne srebro. Zamieszkał w nim po urodzeniu się Romka i na pewno cieszyło go to: samotność, cisza. A także tomy czytanych w późną noc książek. Ojciec domyślał się owych lektur — bibliotekę zamykał na klucz, próbował nocnych kontroli, kontroli na nic, bo podłoga jadalni — stary, ciemny parkiet — skrzypiała na alarm. W końcu skapitulował — nieraz w miesiącach bliskich latu sam świt dopędzał Stefana nad książkami.

Trudniej było z matką. Szczególnie gdy oceniła w końcu ojca trafnie i dokładnie. To znaczy, gdy oddaliła się od niego do granicy tak surowej, by tylko nie obudzić ludzkiej czujności, moralności czy — jak tam — opinii. Nic dziwnego: pochodziła z „właścicieli ziemskich”, ludzi bogatych a izolowanych, których respektowano za majątek, a nie rewizytowano za wyznanie. To pozostało — pełen afektacji, choć skryty szacunek dla pieniądza i brak szacunku dla siebie. Tak samo dla bliskich i najbliższych. Dlatego też łatwo

doceniła ojca i łatwo go odsunęła. Ale i dlatego trudniej było znosić jej pogardliwą miłość i pokorną dumę.

Co do Romka — wiadomo: nieudały syn, zły i głupi. W sam raz na miarę i dziedzictwo po ojcu. Ale Stefan — Stefan był problemem. Tak — już w gimnazjum: dyrektor wezwał matkę raz i drugi, aby — marszcząc cienkie brwi — wymachiwać dłonią bez trzech palców. Wymachiwał nią, jak zawsze, po rzymsku: godnie gestykulował i udowadniał, że syn o tak zupełnie niewątpliwych talentach schodzi na złe drogi i kręte ścieżki, cytował wybór — zauważył tak — grzechów głównych. Co więcej — dawał do poznania, iż Stefan wykazuje apetyt na idee zbyt obrazoburcze, a nawet groźne. Przykre, lecz prawdziwe. Tak.

Odpowiedziała wzruszając lekceważąco ramionami. Wyjaśniła, że wysyła Stefana do jednego z paryskich liceów, mając bowiem pełną świadomość, że jego niewątpliwe talenty, a zarazem zupełnie trudny temperament mogą ulec skrzywieniom, woli — prosząc o wybaczenie za szczerość — zaufać kulturze i wiedzy tak wysokiej, jak francuska.

Stefan wyjechał na cały rok. Był to, rzecz prosta, rok aż nadto długi. Wrócił zaledwie na miesiąc przed wybuchem wojny, milczący, jeszcze bardziej obcy niż przed wyjazdem. Był tam, którądy ona jeździła ze swoją matką w epoce wielkich kapeluszy: Genewa, Nicea, Marsylia. Odwiedził nawet — nie pytała, po co — tak prowincjonalne miasteczko, jak Combrai. Mówił o nim z dwuznacznym uśmiechem. Nie opowiadał jednak swoich podróży matce — usłyszała tylko, jak relacjonował je przyjaciółce i jak czytywał im swoje francuskie wiersze. Mimo to kierowała jego losem. Mimo wzajemnego milczenia utrzymywała się zależność wzajemna i dokuczliwa: od drobnych kłótni na temat trzymania widelca i noża w sposób należycie jadalny do wielkiego terroru jej coraz czulszej troskliwości.

Dopiero wojna. I oto zaczęło się walić na prawo, lewo i w przyszłość. To, że wojna wybuchła, a znów potem, że przyszli Niemcy, pozbawiło ją najpierw męża, którego nie szanowała, potem majątku, który uczył przez całe życie siebie szanować. To pozbawiło ją luksusów i zastępowanej elegancją urody — a mogło w każdej chwili pozbawić ją syna. Czy choćby Romka. Czy nawet życia. A więc nauczyła się w końcu mówić za dużo. Narzekać za obszernie. Kłócić się z sąsiadami o wyrzucane przed domem śmiecie. Czując, że Stefan z dnia na dzień dalej odchodzi i coraz dokładniej staje się całkiem obcym człowiekiem, nauczyła się wreszcie płakać. Dzień w dzień.

Do czasu wojny — i to pewne — nie mogła się uskarżać na szczęście. Ale życie toczyło się torem przepisany, przewidzianym, pieniężnym. Najpierw troszczyła się o nie matka, potem mąż, zawsze ktoś inny i kiedyś indziej — niż ona by musiała — zajmował się buchalterią tego życia, do rachunków z elektrowni włącznie. I mimo że nie miała chwili dosytu, nie zdarzył się taki czas, by uczono ją braków. Gdy więc zaaresztowano doktora Bergmana, a tylko od czasu do czasu jakiś Sonerstein czy Steinsommerowa wmawiali pocieszające plotki; gdy wyrzucono ich z mieszkania, odebrano, jak wszystkim innym, obrazy, fortepian i meble — do kuchennego stołka o kulawej nodze; gdy kazano wynosić się z pościelą byle gdzie, bo byle sprzed oczu; gdy w końcu znaleźli się na Źródlanej w norze brudnej, wilgotnej i opłaconej grubą sumą — nagle fakt tych wszystkich braków przerósł jej pojęcie braku. Uznała: to już nawet nie nędza — z czego żyć? Coś tam i gdzieś tam zostało dobrze ukryte, ale od chwili kupna izby na Źródlanej, w dzielnicy przewidzianej na getto, zapomniała o tym. Tamto zostało nie na czarną, lecz na najczarniejszą godzinę. No tak — Bóg tak niegdyś przyjazny, tak dobrotliwie usługujący, jak pieniądz, odszedł. Druga miłość: Stefan — odchodził. Styczeń zaś był mroźny, policzki pękały, siniały, piekły do łez i od łez, palce od obierania kartofli puchły, pod paznokciami pękała skóra i tworzyły się ropnie. Mróz i mróz, zasypane śnieżne, coraz wyżej rosnący po ścianach izby szron, który w chwilach, gdy piecyk żarzył się, opadał kałużami na czarne deski podłogi.

Przysiedli w dyżurce, Stein przygotował już butelki i talerze, Grossmeier wyciągnął się na sofie, a patrząc w sufit dmuchał ku niemu dymem, Stefan zaś rozparł się przy stole i na

krześle: triumfował. Miał swoje powody i podstawy do triumfu: ojciec Marka otrzymał obietnicę szybkiego powrotu syna, zwolnienia go od winy, kary, zbrodni. Stefan założył nogę na nogę i dłoń z papierosem podkreślał zdania albo punktował sylaby. Stein zaś potakiwał mu w tym niezdawkowym triumfie gorąco. Choćby i to, że o Grossmeierze mówiono: wielki lekarz, mogło być powodem podziwów, a więc zawiści. Jasne też, że zaczynając zdanie chirurg odchrząknął:

— Ja... ja jestem zdania, że twój pesymizm nie wytrzyma, proszę ciebie, próby czasu. Tak — przestawił butelkę na miejsce talerzyka, a talerzyk na miejsce butelki. — My nie płacimy podatków od śmierci. Kontrybucja i areszty, i opaski? To podatek od życia. Tak to właśnie trzeba rozumieć: podatek od życia.

— Głupstwa — zaśmiał się Stefan — głupstwa gadasz. Po co mówić o rzeczach oczywistych? Wojna jest chyba starsza od ludzkości, a prawo kontrybucji równie stare, jak wojna. Czemu tu się dziwić, czym się cieszyć? Co innego jest ważne.

— A mianowicie? — spytał Grossmeier.

— A mianowicie — Stefan pochylił się i wyciągnął oskarżające palec — sama postawa wobec tego wszystkiego. Czy możesz zaprzeczyć, że przepowiadałeś Markowi... — urwał.

— Nie mogę — szepnął lekarz.

— Właśnie — uśmiechnął się zły Stein.

— Otóż tak nie wolno! — zawołał Stefan. — Nie masz prawa! Nawet... nawet, gdyby się okazało, że miałeś w tym wypadku rację, nie wolno nam tchórzyć, poddawać się pesymizmowi, zgadzać na zło. Ja mam dość

tej plugawej pokory, potulności, orientalnej nędzy i smutku. Wojna jest wojną.

— Krieg ist Krieg — zaśmiał się Stein.

Stefan patrzył tylko na Grossmeiera, który marszczył swą smutną, koźłą twarz w zamyśleniu.

— I wiem — mówił dalej z prawdziwym przejęciem — że nawet największej grozie trzeba chcieć i umieć się przeciwstawić. Dać odpór. Uwierzyć we własną wewnętrzną siłę. Uwierzyć w siebie.

— Racja — potakiwał zawzięcie Stein — racja! Trzeba walczyć. Oczywiście w sposób mądry, wstrzemięźliwy, bez nadmiernych ofiar. Trzeba przesunąć teren tej walki na przykład na sprawy ekonomiczne. Uważam, że opór ekonomiczny...

— Ależ nie — Stefan opędział się od tych słów jak od komarów — ależ nie o tym mówię. Mnie chodzi przede wszystkim o wewnętrzną godną postawę wobec grozy świata. O filozoficzne i moralne wartości. O imponderabilia! Jasne?

Stein już się nachmurzył:

— Pozwól mi skończyć.

— Zaraz, zaraz — Stefan wstał, przeszedł się po pokoiku: trzy duże i jeden mały krok. Potem nagłym ruchem zwrócił się ku Grossmeierowi, strzelił palcami.

— Mamy różne drogi przed sobą. Weszliśmy na wielkie rozstaje. Oto twoja: w rezygnację, we wschodnią pokorę, w pokorne oczekiwanie na koniec świata. Oto Steina: żeby grzecznie, wstrzemięźliwie, bez ofiar, płacić. Płacić łapówkę od śmierci i podatek od życia. A oto moja: iść przed siebie z nadzieją, nie zapominać o odwadze ani godności, wierzyć w swoją wartość.

Stein chciał jeszcze coś wtrącić, ale tym razem odezwał się Grossmeier. Uśmiechał się smutno i pobłaźliwie.

— Pięknie — szepnął. — Pięknie — rzekł wstając.

Patrzył na Stefana z góry, mrużąc oczy. Chłopiec umilkł. Lekarz sięgnął po butelkę — starannie nalewał płyn do szklanek, tak, by było równo.

— Nie gniewaj się — powiedział — ale to wszystko nic nie znaczy. Słowa, słowa, słowa...

— Co?! — krzyknął Stefan.

Grossmeier odpowiedział dobrodusznym uśmiechem, podał mu szklankę. Drugą podsunął Steinowi. Sam zaczął pić z rosyjska, drobnymi łydkami, jak wodę.

— Obaj — zaperzył się Stein i chlusnął jednym łykiem. — Obaj nie macie racji. Ja... ja nie powiem już ani słowa. Ale zobaczycie, zobaczycie. Przyszłość wykaże, kto z nas umie myśleć. Przyszłość i fakty! Właśnie: fakty!

Wódka była mocna, na spirytusie, i szła do głów ostrym wirem. Kolejna szklanka wytrąciła rozmowę z naturalnego biegu. Zaczęli mówić wszyscy trzej, każdy sobie, każdy przeciw każdemu, rwąc sobie nawzajem zdania, lekceważąc cudze i własne słowa wysypywane jak z worka, bez ładu i składu. Zaczęło się gubić, kto przeciw komu i dlaczego — szło coraz bardziej, z łyku na łyk, ku wzajemnej zgodzie, serdeczności i porozumieniu, a działał tu przede wszystkim Stein, coraz radośniejszy i weselszy, obiecując coraz bliższy koniec wojny, wieszcząc szybką wolność i nadchodzący wraz z nią okres wielkiej i powszechnej prosperity.

— Tak — wołał. — Prosperity! Wielka powojenna prosperity!

Odrzucił w kąt pustą butelkę, wyciągnął spod stołu drugą — uderzył dłonią w dno, korek wyskoczył, samogon zapienił się w szyjce jak szampan. Nic go nie obchodziło, że Grossmeier, posłyszawszy słowo „prosperity”, zerwał się na nogi i zaczął coś mamrotać z kpina czy też gniewem. Steina tylko rozśmieszył ten widok:

wysoki chudzielec w workowatym ubraniu wymachiwał nad ich głowami ogryzkiem kiełbasy niczym dyrygent pijanej orkiestry. Przy którymś takcie spadły mu z nosa okulary. Schylając się po nie zatoczył się, usiadł na podłodze, mrugał ze zdumieniem powiekami. Stefan zaczął się śmiać, a Stein odzyskał wreszcie wątek:

— Dzieci... dzieci jesteście — powtarzał. — Jak dzieci. Pijane dzieci we mgle.

Grossmeier odnalazł okulary. Rozbawiła go własna słabość. Dźwigał się na nogi niezdarnie i niezdarnie, jak dziecko właśnie. Obaj ze Stefanem chichotali cienkimi głosami. Steina to uraziło.

— Bo co wy wiecie? — jękał i płał się w gniewie. — Co? No co? Jak... jak niemowlęta.

— Niemowlęta? — chichotał Stefan.

— Niemowlaki? — chichotał Grossmeier.

Stein huknął pięścią w stół.

— Jak dzieci! — krzyknął.

Tamci umilkli ze zdumieniem. On zaś chwycił się szklanki jak deski ratunku, znów chlusnął w gardło.

— Jeden tylko człowiek wie — rzekł z nabożnym szacunkiem i wiarą. — Jeden człowiek wie wszystko. Wiecie, kto?

— Kto?

— Kolski, Emanuel Kolski, ojciec mojej Leny, stary Kolski.

— Ba — szepnął Grossmeier.

— Znacie Emanuela Kolskiego? — pytał z pychą Stein. — Nie znacie. A ja go znam. To jest facet, wielki facet. Prosto z City albo z Wall Street! Tak! — znów uderzył w stół. — To jest człowiek amerykański, z amerykańskiej tragedii i wielkości. Na samej walucie, mimochodem, lekką rączką, jednego dnia potrafi zarobić dziesiątki tysięcy.

— Prosperity? — zaśmiał się Stefan. — Już dzisiaj?

— A tak! A właśnie! Znacie go? Nie znacie. A ja go znam i wiem, że nic go to wszystko, co wy tu jeden z drugim pieprzycie, nie obchodzi. Pesymizm? Pasywizm?

Wschodnia, orientalna pokora? Filozofia? Gównologia? Otóż to! Gówno go to obchodzi!  
Gówno!

— Właśnie — rzekł otrzeźwiałym nagle głosem Grossmeier.

— A właśnie, właśnie — kpił Stein. — On powie: dolar ma mieć jutro nie sto siedemdziesiąt, a sto osiemdziesiąt. I proszę, proszę bardzo. Dolar go słucha, dolar rusza w drogę. Najpierw powoli i ociężałe. Ale w południe już jest sto siedemdziesiąt cztery. A o szóstej po południu: sto osiemdziesiąt. Jak psu w dupę strzelił. Ile?

— Sto osiemdziesiąt — odpowiedział Grossmeier. Siedział teraz wyprostowany, trzeźwy, oschły i przyglądał się swoim paznokciom.

— A tak — chichotał Stein — a tak! Stary Kolski, gdyby tylko chciał, toby dzisiaj, jeszcze dzisiaj, wyjechał na fałszywe papiery do Wiednia, do Szwajcarii, do Paragwaju. Nawet na księżyc! Tak. Gdyby chciał. Ale jemu się nie chce. Bo jemu się to nie opłaca.

— Powtórz — zażądał Grossmeier. Podszedł do okna, oparł się o nie. Po zasłoniętych szybach skakał śnieg z wiatrem, Stein zaś zapalił się i płonął.

— Bo jemu się to nie opłaca — powtórzył. — Bo sami Niemcy... rozumiecie? Sami Niemcy przychodzą do pana Emanuela Edwarda Kolskiego, żeby zarobić, i pierwsi zrywają czapkę ze łba i czapkują, czapkują. Słyszałem, że sam Generaldirektor... a nawet sam Willhaus. Rozumiecie? Sam Willhaus!

— Rozumiem — rzekł Grossmeier takim tonem, że Stein umilkł nagle, jakby z przestrawu.

— Sam Willhaus — powtórzył Grossmeier bardzo cichym głosem i to były ostatnie słowa, jakie Stefan spamiętał z owego wieczoru.

Nazajutrz — gdy wracał rankiem do domu — mróz chyba nieco zelżał, lecz słońca było w górze tyle samo, co ostatnimi czasy. Powietrze niebieskie, białe i złoczone. Przystanął przed furtką, by odetchnąć świeżym, prosto ze wschodu mrozem i uśmiechnął się: od przeciwległego domku śnieżne dachy pięły się tarasami prosto w miasto. Śnieg obsypał kilka drzew: widok poranny, ładny.

Z pogotowia wyszedł Berg, okutany wysoko, po oczy i uszy, w czarny szal. Oddech osiadł mu na białej brodzie i wąsach też biało — porannie i ładnie. A że Stefan wbrew awanturom i pijaństwu ostatniej nocy cieszył się tym widokiem, podwoił uśmiech witając Berga:

— Ładnie. Styczeń, co?

Berg ledwo, ledwo odmruknął powitanie i wzruszył ramionami bez żadnej aprobaty. Od razu zabrał się do odbijania zbitej warstwy śniegu z chodnika, łopata dźwięczała o kamień, więc echo szło od muru do muru ku Leśnej, jak w blaszanych sabotach. Stefan zawiódł się, speszył. Pytając zapomniał nawet zgasić uprzedni uśmiech:

— Pan dziś bez humoru, panie Berg?

Berg robił swoje dalej, echo biegało coraz ostrzej, aż przechodzący Leśną człowiek obejrzał się zdziwionym ruchem. Dopiero gdy Stefan nie doczekawszy odpowiedzi ruszył swoją drogą, Berg podniósł głowę, oparł dłonie na stylisku łopaty i zmarszczył się, zły, do słońca.

— Az czego ma być ładnie? Z czego się mam cieszyć, co? — potrząsnął głową bardzo pogardliwie. — Doktor Stein nakupił wczoraj wódki i kiełbasy. To ja muszę się także cieszyć? Pan doktor Stein na Jom-Kipur na pewno nie pościł. Ale co on myśli? Że nigdy nie przyjdzie Sądny Dzień?

Skrzywił się i zaczął wystukiwać po chodniku swoją pracę na nowo. Stefan pożegnał się nieśmiało.

— Ja przyjdę wieczorem. Do widzenia, panie Berg.

Wchodząc w Leśną — mróz pod stopami skrzypiał, lecz ciszej niż w dniach poprzednich — obejrzał się: Berg wystukiwał rozzłoszczony, szybki rytm; wzdłuż

krawężnika rosła mała, podłużna stertka płytek. Cień słoneczny kładł się jeszcze skośnie, ale już dobrze obrysowanym konturem. Mróz na pewno zelżał.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI